

---

---

ELŻBIETA SMUŁKOWA

## WSPOMNIENIE Z NARYMSKIEGO KRAJU

Zamieszczony w 66 numerze „Zesłańca” (2016) syntetyczny artykuł Anety Pankiewicz zatytułowany *Sytuacja polskich zesłańców na Syberii w okresie II wojny światowej*, oparty na dotychczasowej literaturze przedmiotu i godny uznania jako „przeredagowany fragment pracy magisterskiej” młodej osoby, prowokuje do tego, aby go wesprzeć i uzupełnić autentycznym przeżyciem i doświadczeniem.

Jednym ze skupisk Polaków wywiezionych w latach 1940-1941, których warunki życiowe autorka omawia, są zesłańcy do Kraju Narymskiego. Jestem jedną z nich. Mam teraz 85 lat, a przeszłość naszą widzę obrazami. Pamięć przeżywania Sybiru przez dziecko pozostaje we mnie, wsparta treścią oryginalnego dziennika mojej Matki, prowadzonego w drodze ze Lwowa w nieznaną i kilkakrotnie jeszcze po dotarciu na miejsce przeznaczenia. Opublikowałam go wraz z kilkoma zapamiętanymi „obrazami” poprzedzającymi wywóz i z listem Matki (świadectwem jej osobowości i przeżyć), pisany do szwagra Tymona Terleckiego 30 maja 1942 roku; w jej papierach zachowała się kopia tego listu, który nigdy do adresata nie dotarł<sup>1</sup>. Pewną weryfikację mojej pamięci stanowią też rozmowy z młodszą siostrą, współtowarzyszką pobytu na Syberii. Niezbędne ogólne informacje o Narymskim Kraju, nazewnictwo potrzebnych miejscowości, rzek i mieszkańców czerpię z literatury. Dotyczy to zwłaszcza niektórych moich sprostowań w stosunku do terminów użytych w pracy Anety Pankiewicz. Pójdę trochę jej tropem. Nie będzie to jednak w żadnym przypadku recenzja tego artykułu. Tyle pokrótce o źródłach, a poniżej to, co podsuwa pamięć i to, co z tych źródeł wynika.

### Wtargnięcie przemocy

Pierwsza odczuta przez dziecko przemoc – to noc aresztowania ojca, inżyniera leśnika, 23 marca 1940 r., w naszym lwowskim mieszkaniu przy ulicy Mochnackiego 56 (obecnie Drahomanowa). Ojciec żegnając się dyskretnie wsunął mi do rączki swoją obrączkę: „Pamiętaj czyją jesteś córeczką!”

Zapamiętałam!

---

<sup>1</sup> *Dwa etapy w życiu matki: Lwów – Sybir*, [w:] *Europa Nie prowincjonalna. Przemiany na ziemiach wschodnich dawnej Rzeczypospolitej (Białoruś, Litwa, Łotwa, Ukraina, wschodnie pogranicze III Rzeczypospolitej Polskiej) w latach 1772-1999*, Warszawa-Londyn 1999; przedruk, [w:] E. Smułkowa, *Białoruś i pogranicza. Studia o języku i społeczeństwie*, Warszawa 2002, s. 583-596.

W rok później druga: budzą mnie ostre męskie głosy; wzrok pada na mamę siedzącą bezwładnie w samej bieliźnie, nic nie mówi, jest poważna, nie płacze. „Zbieraj się, masz mało czasu” – to jeden z męskich głosów. Matka powoli wstaje, ubiera się i zaczyna się pakować. Pomagam jej zbierając rzeczy Maryli i swoje. Wrzucam do kosza *Dzieje duszy św. Teresy od dzieciątka Jezus* – dlaczego właśnie to? Nie licząc Matki książeczki do nabożeństwa, to było jedyne polskie słowo drukowane, jakie miałyśmy na Syberii. Jeden z enkawudzistów zauważa stojącą przy oknie maszynę do szycia. „Bierz maszynę, jeżeli umiesz szyc – u ciebia dieti!”

Całe pakowanie trwało około dwóch godzin. Pod bramą przy Placu Akademickim 1 (skromniejsze mieszkanie po aresztowaniu ojca) czekała odkryta ciężarówka, do której załadowano nas z rzeczami, by dowieźć na dworzec kolejowy. Był już brzask, dość chłodno; jadąc patrzyłam z góry platformy na puste ulice i domy stopniowo wyłaniające się z nocy i mgieł. To był ciekawy dla mnie widok. Znacznie później zrozumiałam, co mogła wtedy czuć moja Matka. Z jej „Dzienniczka” wiem, że stało się to 22 maja 1941 roku w Święto Wniebowstąpienia Pańskiego.

#### **Droga ze Lwowa w nieznaną: pociąg, statek, barka-barża**

Nie pamiętam zupełnie przeładunku do wagonu. Utrwalił się natomiast obraz jego wnętrza: my z Matką i jakaś druga rodzina na górnej pryczy po lewej stronie od wejścia. Po środku wagonu parasza, przesłonięta prześcieradłem przez naszą mamę jak wspomina siostra. Przez zakratowane maleńkie okienko towarowego wagonu „przystosowanego” do przewozu ludzi, zanim jeszcze ruszyliśmy w drogę, z pewnej odległości widziałam znajome postaci krewnych, którzy chcieli do nas podejść, podać jakiś prowiant, pożegnać.– Nie udało się! Byliśmy pilnie strzeżeni. Drzwi zaryglowane, zaduch. Jedna z pań zemdląła. Z „Dzienniczka” Matki:

Byłam przygotowana na wywóz kilkakrotnie, a tym razem naprawdę wzięto mnie z Elżunią i Marysią zupełnie nic nie przeczuwającą – chorą psychicznie po śmierci Wandy [siostra matki W. Lewkowa, wywieziona z Łunińca do Kazachstanu, po wcześniejszym aresztowaniu jej męża, sędziego Jana Lewka, zmarła w szpitalu w Pietropawłowsku w 1941, o czym zostałyśmy zawiadomione niedługo przed wywiezieniem], nieprzytomny strzęp nerwów. Pozostawiałam najbardziej wartościowe rzeczy i przedmioty. Jesteśmy kompletnie niezaopatrzone.

W drodze byliśmy na szczęście karmieni, raz dziennie.

W niedzielę 25 maja jest między innymi taki zapis:

Teraz tu czekamy w Brańsku na obiad, po który poszła delegacja z naszego wagonu pod konwojem.

A we wtorek 27maja:

Poniedziałek zeszedł na staniu bez ruchu, jedzenia i wszelkich wrażeń w Orle. Wtorek rano znaleźliśmy się w Tule, stronach rodzinnych Tołstoja. Dzieciom kupiłam lody (wstrętne), które jednakże zjadły z wielkim smakiem. O ósmej rano dano nam obiad: kapuśniak dobry i makaron z mięsem, gorąca woda. Nakarmiwszy się poczuliśmy się raźniej. Męczące jest tylko to ciągle stanie na bocznych torach. Tajemniczo milczą nasi konwojenci co do nazwy miejscowości naszego przeznaczenia. [...] Zżywamy się powoli w naszym

kolektywie wagonowym. Poznajemy charaktery, przeważnie poczciwe z kośćcami, ludzisków. Jaka siła zagnała nas tu spokojnych, neutralnych, osiadłych ludzi? Dlaczego malutkie dzieci się tu znalazły? Za co zostały wyrwane zdolne dzieci ze szkół? A co najważniejsze, jaki będzie efekt, jaki wynik tego przesiedlenia, tak teraz tragicznego dla nas i pełnego zgrozy? Kiedyż wreszcie ten Sybir zimny i groźny, od tyłu, tyłu lat skropiony polskim potem i łzami, zamieni się w normalną przystań dla ziemskich pielgrzymów?

**28/V środa.** Posunęliśmy się znowu szmat ziemi ku wschodowi. Jesteśmy w tambowskiej obłasti. Niespodzianką było rano gorące mleko i dwa jaja kupione od jakiejś kobiety. [Zakupy były dokonywane przez wagonowe okienko. Przesuwane drzwi-wrota stale zaryglowane]. Pragnę bardzo napisać do Lwowa i Basi [Barbara Rewieńska, współtowarzyszka śp. cioci Wandy, autorka książki wspomnieniowej z Kazachstanu *I tylko księżyc był ten sam* – E.S.], ale mi się to nie udaje.

**2/VI. Poniedziałek Zielonych Świąt.** Dalsze miejscowości trasy: Penza, Batraki, Kujbyszew [Samara], Bogorusław, Ufa, Złotoust, Czelabińsk (już za Uralem). „Gdzie spędziłaś tegoroczne Zielone Świąta?” – „Na Uralu”! (Tak, Tak). Ural ogromnie mię zajął. Daje się zauważyć więcej kultury, niż w poprzedniej części Rosji [...]. A w naszym wagonie kloaka coraz gorzej śmierdzi. Prześcieradło umieszczone zamiast parawanu przesiąkło moczem. Ludzie gorączkują, zażywają rycynus, płaczą, pocą się, rozpaczają. Jeden ze współtowarzyszy, cichy, spokojny maszynista kolejowy na emeryturze ma już od dwóch dni 40° gorączki. Zmienia spocone do nitki koszule, które potem cuchną na cały wagon. Dziś mu trochę lepiej. Jedzie z trojgiem dorosłych dzieci. W sąsiednim wagonie umarła jakaś staruszka. Żołnierze w nocy przyszli po zwłoki, pomyliwszy numer wagonu zapukali do nas.

**5/VI.** Jesteśmy w Nowosybirsku. I to jeszcze nie jest cel naszej podróży. A już jesteśmy prawie u kresu wytrzymałości. Stoimy między ciasno ustawionymi wagonami ciężarowymi. Zaduch okropny. Dzieci rozebrały się do koszulek i daremnie żebrzą o wodę. Obiecują nam nawet picie, obiad, ba nawet kąpiel, to znaczy kąpiel. Ale kiedy tego doczekamy? Ach, jakże ciężka jest rola matki w takiej sytuacji!

Sam Nowosybirsk – duże miasto, położone ładnie nad Obem. Duże budynki, wiele kominów fabrycznych po drugiej stronie rzeki.

Kąpiel była istotnie wspaniała. Ale po radości zawsze jest cień. Ela za długo może była głodna w gorącej łaźni i tak wyszedłszy osłabła, że omal nie zemdlała. Wróciwszy do wagonu uspokoiła się; za jakiś czas dostałyśmy obiad.

Tak jest w „Dzienniczku”.

Mnie ten epizod z Nowosybirską zapisał się w pamięci bardziej dramatycznie. Po raz pierwszy od kilkunastu dni znalazłyśmy się poza wagonem i musiałyśmy pieszo, w dość dużym tempie, pokonać zatłoczoną wagonami bocznice dworca i dotrzeć do łaźni miejskiej. Psychiczną traumą było dla mnie rozebranie się wśród obcych kobiet i mycie się w dużej sali w gąszczu nagich ciał, często mało estetycznych. Ostra woń otrzymanej po dezynfekcji odzieży i długotrwały brak napoju dopełniły swego – osłabłam; pamiętam moment utraty przytomności. Nic takiego nie powtórzyło mi się nigdy w życiu.

**Nazajutrz:** jazda do tajgi przez śliczną okolicę. Brzoza i świerki, modrzewie, czeremcha kwitnąca i śliczne barwne kwiaty w bujnej trawie. W Tomsku skończył się ten raj. Bagna przejęły nas strachem. A w nocy okazało się, że pojedziemy okrętem, rzeką w kierunku Morza Karskiego. Czekamy na przetranspor-

towanie do okrętu. Po źle przespanej nocy, bez śniadania i kropli wody nie możemy oprzeć się zdenerwowaniu. Jest mnie i dzieciom bardzo niedobrze. Deszcz pada. Nie wiem jak sobie poradzę z pakunkami z wagonu, a tym bardziej z bagażowego. Ból okropny serce ściska. Jak zniesiemy życie na północy? Boże, zostaw mię jak najdłużej przy dzieciach! Niech nie zostaną sierotami w obczyźnie.

**Okręt. Sobota 7/VI.** Straszliwie wyczerpana dźwiganiem pakunków, po zapłaceniu marynarzowi za kosz i maszynę, i łóżka, siedzę wreszcie w bardzo nie odpowiednim miejscu na okręcie. Okręt jest obszerny, dwupokładowy, ale na tyle ludzi, jak cały transport zesłańców, absolutnie za mały. Widok stłoczonych kobiet, mężczyzn, dzieci śpiących, przerażonych, spoconych – to prawdziwy czyściec. Ogonek przed kuchnią po obiad – to gehenna. To też po zjedzeniu obiadu (zupy ogórkowej i kaszy) i umyciu naczyń byłam już śmiertelnie na ten dzień znużona. Posiedziałam, względnie postałam trochę z dziećmi na pokładzie, skąd mimo całego zgnębienia musiałam podziwiać cudo olbrzymiej rzeki Ob, oświetlonej zachodzącym słońcem, okolonej zieloną tajgą z kwitnącą, pachnącą odurzająco czeremchą. Potem kupiłam dzieciom porcję kompotu, rozścieliłam siennik i zasnęliśmy natychmiast.

**8 /VI. Niedziela!** Już trzecia podczas tej tragicznej podróży. Skoro tylko syberyjskie słonko zeszło, musiałyśmy wstać, bo siennik zawadzał w przenoszeniu skrzyń i poczty w osiedlu przy którym zatrzymał się okręt. Kołpaszewo nazywa się. Na widok siłaczy, dźwigających z dołu okrętu skrzynie, czuję się podwójnie nikła i zagubiona w tym kraju, w którym może bytować tylko krzepkość, hart i wytrzymałość na głód, mróz i ciągłą walkę o byt. Co tu będę robiła? Jak długo wytrzymam? O Jezu Eucharystyczny, którego bym dziś w normalnych warunkach przyjęła, zlituj się nad dziećmi moimi i tych wszystkich nieszczęśniczek jadących ze mną! Na Rany Twoje Święte zaklinam Cię, okaż przewagę Twoją nad światem szatana. Spójrz na te wątłe ciała dziewczęce śpiące, krzywo oparte o tłumoki, i ześlij na nie błogosławieństwo swoje! Daj mi odczuć, że w tym bezdennym umęczeniu naszym jest jakiś Twój Boski cel. Nie daj popaść w zwątpienie. Pozwól zejść się kiedyś z Kazikiem. Dziś dzień jego urodzin. Oddaję go opiece Twojej.”<sup>2</sup>

### **Ust'-Sielga nad brzegiem Wasiuganu**

Nie pamiętam miejsca i okoliczności „przesiadki” z okrętu na barkę-barżę. Nie ma też o tym w „Dzienniczku”. Musiało się to stać zapewne jeszcze na rzece Ob przy ujściu Wasiuganu, jej dopływu, w którą już duże statki widocznie nie wchodziły. Utrwalił mi się obraz barży, przycumowanej przy wysokim brzegu Wasiuganu w posesiołku Ust'-Silga, naszym miejscu docelowym. A matka zapisała:

Nasz adres: SSSR, Nowosibirskaja obłast', kargasokskij rajon, naunakskoje pocztowoje otdelenije, posesiołok Ust-Sielga.<sup>3</sup> Prowadzimy tu życie na poziomie bardzo prymitywnych wieśniaków, którzy dopiero stawiają sobie dom. Nie wolno nam poruszać się po okolicy bez przepustki opiekuna NKWD.

<sup>2</sup> Dopiero od 1994 roku wiemy, że ojciec już wtedy nie żył, rozstrzelany najprawdopodobniej w Kijowie i zakopany w Bykowni (ukraińska lista katyńska 71/2-57, nr 91). Obie z siostrą uczestniczyłyśmy w uroczystym poświęceniu cmentarza wojkowego w dniu 21 września 2012 roku.

<sup>3</sup> W literaturze rosyjskojęzycznej Ust'-Silga i tej nazwy będę dalej używać.

Tak miało być przez 20 lat. Osoby wysadzone z tej barki na brzeg zostały zakwaterowane w parterowym drewnianym baraku czteroklasowej szkoły. Zapamiętałam wspólną dużą salę z jasnymi oknami – nic dziwnego po doświadczeniach ciemnego wagonu, czy statku. Na około pod ścianami rozłożone na ziemi posłania i różne formy tworzenia sobie bardziej własnego intymnego świata mimo wszystko: gdzie-niegdzie jakaś serwetka, obrazki święte, flakonik... Na ścianie naszego miejsca zawisł nieduży, oprawiony w dyskretne złote ramki obraz Matki Boskiej z kędzierzawym dzieciątkiem, chwytającym korale matki. Obraz daleki od kanonu ikonicznego, przypominający czarnobiałą fotografię, prawdopodobnie proveniencji włoskiej.

– To ty ze starszą córką? – zapytał, lustrujący salę enkawudzysta. Matka bez chwili wahania odpowiedziała – Tak! Matka Boska została z nami. Wszystkie inne obrazy święte i krzyżyki musiały zostać z sali szkolnej usunięte.

Przed początkiem roku szkolnego trzeba było znaleźć sobie jakieś inne lokum. Zamieszkałyśmy w wąskiej bokówce z oknem w chacie dwojga starszych ludzi, jak mawialiśmy – dziadków Kowalowych. Wchodziło się do niej przez ich izbę z dużym chlebowym piecem, na którym spali; nie wprost z sieni; było ciepło! To ogromnie ważne zważywszy, że to był teren, gdzie mrozy mogły przekraczać 50° C. Problemem był brak odpowiedniej odzieży zimowej. Mama kupiła nam miejscowe walonki, rodzaj obuwia do kolan z grubego sukna, a ją ratowały przysłane przez Basię Rewieńską z Kazachstanu ciepłe łuninieckie pimy po zmarłej cioci Wandzie i jej ciepły płaszcz zimowy. Na głowę własnoręcznie zrobiłam sobie na drutach grubą chustkę z uprzedzonej wcześniej na drewnianym ręcznym wrzecionie białej waty (dwie cienkie nitki skręcone razem), którą mi dała miejscowa felczerka za opiekę nad jej niemowlęciem. Ten znamieny eksponat odzieżowy przechowuję do dziś. Może jakieś muzeum Sybiraków chciałoby się tym zainteresować?

„Нина Ивановна, ты негорюй, ты к нам прыехала, а мы в тайгу были выброшены. Мы в тайге жили, где не было ничего. Сколько народу умерло. Мы сами рубали эти кедры, строили дома. И никто нами не интересовался. ... А ты уже к нам прыехала”<sup>4</sup> – rzeczowo pocieszał Matkę brodaty dziadek Kowalow. Okazało się, że Ust'-Silga nie jest zwykłą wsią z miejscową ludnością a *specposiołkiem*, zbudowanym w tajdze zaledwie o 10 lat wcześniej przez zesłańców z różnych stron ZSRR w okresie kolektywizacji wsi (głównie w roku 1931). Można przytoczyć jedno ze świadectw tamtych wydarzeń: „Nas przywiezli, wysadili на берег. Стали дефат wsio, czto možno, cztob kak to naczat' žyt'.”<sup>5</sup>

<sup>4</sup> Nino Iwanowna, ty nie rozpaczaj, tyś już do nas przyjechała, a my do tajgi byliśmy wysadzeni. Myśmy wprost w tajdze mieszkali. Ileż narodu pomarło. Myśmy sami te cedry ścinałi, budowaliśmy domy. I nikt się nami nie interesował ... A ty już do nas przyjechałaś”.

<sup>5</sup> Zemla kargasokskaja, s. 180 (przekład własny ES) „Przywieźli nas i wysadzili na brzeg. Zaczęliśmy robić wszystko, co możliwe, żeby jakoś zacząć żyć. Postawiliśmy namioty, szalały z gałęzi. Do zimy postawiliśmy dwa baraki, gdzie spaliśmy na pryczach. W każdym po 8 rodzin, czyli 30 osób. Żywiliśmy się chlebem z trawą i opłkami, po 40 deko dla pracujących i po 200 dla dzieci i innych nie mogących pracować. Miejscowi mieszkańcy udostępniali nam kubek gotowanych obierek z kartofli za chustkę na głowę. W ciągu miesiąca zmarł ojciec i dwie siostry z powodu głodu i tyfusu. My z matką chorowaliśmy na tyfus przez dwa miesiące.”

Nasza sytuacja, jako zesłańców, była już istotnie lepsza, mieliśmy dach nad głową i ludzi z jakoś zorganizowanym od kilku lat życiem. Można było niektóre rzeczy z odzieży wymieniać na pokarm, którego by się inaczej nie kupiło. Porcje chleba, który można było nabyć na kartki pozostały takie same jak i u naszych poprzedników: 400 gramów dla pracujących i po 200 gramów dla osób przez nich utrzymywanych. Jak już wspomniałam, we wsi była nawet felczerka z izbą szpitalną na kilka łóżek, głównie dla położnych. Gdy się czyta opowieści o zsyłkach lat trzydziestych do Narymskiego Kraju widać wiele analogii organizacyjnych i wręcz wzorowanie się odpowiednich organów władzy na wcześniejszych sowieckich deportacjach z okresu kolektywizacji.

Teraz, chcąc przekazać historyczne geograficzne i administracyjne wiadomości o Narymskim Kraju, do którego trafiłyśmy, trzeba już odnieść się do literatury przedmiotu: polsko- białorusko- i rosyjskojęzycznej. Nazwa Narymski Kraj pochodzi od miejscowości Narym ('bagno' po selkupsku), położonej u ujścia rzeki Ket', prawego dopływu Obu<sup>6</sup>. Wasiugan to kręta z rozlewiskami, bagienna rzeka o ciemnym kolorze wody. Jest lewym dopływem Obu, położonym wyżej ku północy niż Ket'. Okręg Narymski, jako jednostka administracyjna istniał od 1932 do 1944 roku.<sup>7</sup> W jego skład wchodziło 13 rejonów, w tym „nasz” – Kargasocki, z komendanturą NKWD, której podlegałyśmy. Ten odległy, izolowany wskutek warunków przyrodniczych, teren był wykorzystywany jako miejsce zsyłek i nazywany „więzieniem bez krat” już znacznie wcześniej. Od czasu rosyjskiej kolonizacji tych ziem zesłańcy stanowili zasadniczy trzon osadnictwa. Autochtoni: Selkupowie, Chantowie i Ewenkowie – początkowo koczownicy, byli rozrzućeni w odległych od siebie osadach. Zajmowali się głównie polowaniem, łowieniem ryb i hodowlą jeleni<sup>8</sup>. Mieszkańców wsi Naunak, w której nigdy nie byliśmy, a położonej stosunkowo niedaleko „naszej” Ust'-Silgi, Matka nazywała Ostiakami, zbiorową nazwą narodów Syberii.

Nasze życie w tajdze, uzależnione przede wszystkim od pory roku, wyglądało zupełnie inaczej latem i w zimie. Warto podkreślić, że wiosna i krótkie gorące lato zlewały się prawie w jedno. Matka zatrudniona była przy koszeniu siana po drugiej, zalewowej stronie rzeki. Kosiarze po wiele godzin pracowali stojąc w wodzie. Matka dostała wrzodów na nogach, których od ciągłego stania po kolana w wodzie nie dawało się długo wyleczyć. Z tymi sianokosami wiąże się jeszcze jedno trudne dziecięce wspomnienie. Nie zawsze było komu przewieźć przez rzekę kosiarzy oczekujących wieczorem po jej drugiej stronie. Starłam się wówczas odszukać kogoś z rówieśników, odcumowywaliśmy dużą łódź i „powozać” dwoma dużymi wiosłami przepławialiśmy się na drugi brzeg. Zwykle zносиło nas prądem dość daleko od oczekujących, ale wtedy powoli pod prąd płynęliśmy do nich tuż przy brzegu. Pewną dozę nieodzownego strachu (szerokość i głębina rzeki, a pływać nie umiałam)

<sup>6</sup> Rzeka ta w cytowanym artykule A. Pankiewicz nosi błędną nazwę Kieł, a to dlatego, że u E. Kowalskiej, *Adaptacja polskich zesłańców lat 1940-1941 do warunków życia na Syberii*, [w:] *Syberia w historii i kulturze narodu polskiego*, pod red. naukową A. Kuczyńskiego, Wrocław 1998, s. 419; znalazł się absurdalny błąd (po ł nie może być znaku miękkości) zapis Kieł' zamiast Kiet'.

<sup>7</sup> Waler Kalinouski, *Pani Elżbieta. Historyja adnoj pryjazni*, Smoleńsk 2016, s. 46.

<sup>8</sup> Ibidem, s. 46, za: *Земля каргасокская: сборник научнопопулярных очерков*, ред. Я. Я. Яковлев, Томск 1996, с. 150 и дальше.

przewyciężało przekonanie, że jadę po Matkę, że trzeba jej dać odpocząć, osuszyć i opatrzyć nogi; pobyc z nami! Przecież od następnego ranka znowu ta sama praca – „zawtra opiat’ na rabotu” – ta upowszechniona już w literaturze konstatacja łagierników utkwiała mi mocno w pamięci.

Z czym jeszcze kojarzy mi się wielka syberyjska rzeka? Z dziewczynką, która prowizorycznie zrobioną wędką bardzo chciała pod nieobecność Matki (patrz wyżej – sianokosy) złowić w tej rzece choć kilka rybek na obiad. Siedziałam wpatrując się w napięciu w wodę, moczyłam robaki, bezskutecznie niestety. A przecież było tam dużo pięknych gatunków ryb. Doznawany zawód i żal musiałam przeżywać głęboko, skoro tak wyraźnie pamiętam go do dziś.

Tajga w lecie kojarzy mi się z zaprzyjaźnioną rówieśnicą Katią Kołbiną, z którą chodzyliśmy zrywać bujnie w niej rosnące czarne porzeczeki, a później grzyby. Zbierając trzeba było bardzo uważać na żmije – zwinięte w pobłyskujące w słońcu kłębki na pniach ściętych drzew, na które skakałyśmy, omijając grzędzawiska. Uczyłyśmy się wówczas pilnowania drogi. Zabłądzić w tajdze było bardzo łatwo. Jedno takie traumatyczne doświadczenie przeżyłam. Opatrzność Boża wyprowadziła mnie jednak z lasu przed nocą.

Latem tajga była całkowicie nieprzejezdna. Pozostawał jedynie niezorganizowany transport wodny. Poniżej streszczam opis z lat 30-tych ubiegłego wieku, w latach czterdziestych, przez nas doświadczonych, nic się nie zmieniło. Regularnego transportu nie było. Wielodzietna rodzina Darii Turkowej zesłana podczas kolektywizacji do Żółtego Jaru pow. Kargasok, gdzie absolutnie nie dało się żyć, aby przepłynąć do bardziej zasiedlonej wsi Bondarka rozebrała wcześniej zbudowany przez siebie barak, zrobiła z tego materiału tratwę i tak dotarła do Bondarki<sup>9</sup>.

Największą plagą lata była meszka (maszk`a) – gęsto latające w powietrzu drobnutkie muszki – ostro kąśliwe i klejące się do oczu. Ratunkiem przed nimi były zawieszane na okryciu głowy siatki, moczone w dziegciu, którego zapach odstraszał wprawdzie meszkę, ale przykry był także dla oddychających nim ludzi.

A tajga zimą? Też bardzo piękna ale i trudna do przebycia. Nasza Matka, aby uzyskać zgodę na przeniesienie się do Kargaska, miasteczka powiatowego, przechodziła przez tajgę przy ponad 30 stopniowym mrozie 60 kilometrową odległość. Na 30 kilometrze tej drogi był tzw. „postojajny dwor”, gdzie wędrowcy mogli zaopatrzyć się we wrzątek (kipiatok) i pokotem przespać się na gołych narach. Matka tak to opisała w liście do Tymona Terleckiego:

Zima tutaj jest śliczna. 40 stopniowe mrozy są tylko przy wietrze przykre; bez wiatru znośne zupełnie. W celu uzyskania pozwolenia na zamieszkanie w miasteczku rejonowym Kargasek, gdzie od 10.04. mieszkamy, zrobiłam przy 36° mrozu 60 km pieszo do Kargaska i 60 km z powrotem. W ciągu zimy przechodziłam się tak trzy razy. Dwa razy samiuteńka. Na saneczkach ciągnęłam za sobą prowianty. W ciągu takiej drogi przeżywa się przez dwa dni więcej niż we Lwowie przez cały rok i więcej.

Nam opowiadała dodatkowo o tym, że w drodze towarzyszyło jej z oddali charakterystyczne wycie wilków, a na pewnym odcinku drogi przebiegło w pobliżu niej ich stado, nie zwracając na samotnego piechura uwagi. Taka droga mogła się odbyć tylko zimą po zamrożeniu bagien i innych mokradeł.

<sup>9</sup> Ziemiła kargasokskaja, s. 182.

W dzienniczku Matki utrwalone zostały jeszcze dwa wydarzenia dotyczące naszego pobytu w Narymskim Kraju. 1. Opis pierwszych na obczyźnie świąt Bożego Narodzenia i 2. jej reakcja na wybuch wojny niemiecko-rosyjskiej, jako zupełne odcięcie nas od Lwowa i pozostałych tam bliskich.

Drzewko z tajgi przyniósł drwal, pocziwy z kośćcami pracownik przy „klopce”<sup>10</sup>, jodełkę o cudnych długich igiełkach, zgrabną i proporcjonalną. Zrobiliśmy różne cacka z tutaj dostępnych materiałów i było zupełnie ładne drzewko. Szopkę zrobiłam z kory brzoźowej z gwiazdą i napisem Gloria in excelsis Deo! Do szopki wstawiłam obrazek z mszału o Bożym Narodzeniu. Wziąwszy pod uwagę gorzkie łyzy, które padały podczas klejenia – można powiedzieć, że szopka była droższa od wszystkich lwowskich sklepowych. A zresztą naprawdę była ładna. Na wigilię zaprosiłam naszych azjatyckich gospodarzy, u których mieszkamy – bo bałam się samej siebie. Nie wierzyłam sobie, czy potrafię zapanować nad sobą i nie postraszyć dzieci płaczem. Ugotowałam zupę kartoflaną z grzybami (Elżunia latem nazbierała w tajdze) i fasolę, jeszcze resztkę ze Lwowa. Kupiłam pół litra wódki, 2 kg sera (twarogu). Dziadek Kowalów dał kilka solonych rybek, a babka – orzeszków cedrowych. Po kolacji zaświeciłam choinkę (było pięć świeczek z jednej pociętej) i kołędowałam z Elżunią. Maryla pomagała jak mogła i umiała. Wówczas poznałam jak wielki jest Bóg i jak cudowną skarbnicą bogactw i łask jest religia! Kochani moi wszyscy najbliżsi, choć tak daleko od Was – byłam z Wami przez tę rocznicę narodzenia Jezuska Zbawiciela. Wiem, że myśleliście wtedy o nas i nie tracę nadziei, że się zobaczymy.

Dzięki opracowaniu Walerego Kalinowskiego<sup>11</sup> wiem, że wsi Ust'-Silga już nie ma. Podobnie jak i wielu innych osad dla przesiedlonych z Polski, krajów nadbałtyckich ZSRR, z Ukrainy i innych sowieckich obywateli z wielu odległych miejscowości. Tajga odwojuje swoje terytoria, zajęte wcześniej przez zesłańców i służbę ich dozorującą. Geolodzy prowadzący prace wiertnicze w 1962 roku obserwowali na miejscu posesiołki Ust'-Silga tylko 3-4 walące się domki w zaroślach. Mapy pokazują Narymski Kraj jako „pustosz”, a dawne drogi przy posesiołki jako zarosłe. Zdjęcia wojskowe z lotu ptaka świadczą, że tajga na miejscu Ust'-Silgi jest nieco jaśniejsza (rzadsza), czym dalej na południe.

### **Kargasok (Kargas`ok)**

Umowa Sikorski – Majski<sup>12</sup> anulowała 20-letnie przywiązanie polskich zesłańców do miejsca przeznaczenia. Dzięki temu matka przeniósł się z nami do miasteczka powiatowego Kargasok, gdzie było więcej Polaków, gdzie mogliśmy chodzić do szkoły, a mama pracowała w szwalni, nie tak ciężko fizycznie jak w Ust'-Sildze. Mnie osobiście było jednak znacznie trudniej niż poprzednio we wsi. Mieszkałyśmy w parterowym budyneczku z płytą kuchenną zamiast pieca, w byłej bani, czyli łaźni domowej naszych gospodarzy Pietuchowych. Było bardzo zimno, płyta dymiała, a moim zadaniem było pod-

<sup>10</sup> Wyrób klepek beczkowych.

<sup>11</sup> W. Kalinowski, *Pani Elżbieta. Historyja adnoj przyjaźni*, Smoleńsk 2016, s. 51-52.

<sup>12</sup> 30 lipca 1941 roku premier polskiego rządu na uchodźstwie Władysław Sikorski (1881-1943) i ambasador ZSRR w Londynie Iwan Majski (Jan Lachowiecki 1884-1075) w obecności premiera Winstona Churchilla (1874-1965) podpisali umowę o odnowieniu stosunków dyplomatycznych między Polską i Związkiem Radzieckim, jednostronnie zerwanych przez ZSRR napaścią na Polskę 17 września 1939 roku.



trzymywanie ognia pod nieobecność Matki. Zdobywanie opału ze względu na nasze wątłe siły i duży mróz było bardzo trudne. Zwykłymi dziecinnymi saneczkami jeździliśmy z siostrą po wykarczowane latem pnie, przymarznięte do ziemi, zasypane śniegiem i co mniejsze starałyśmy się wciągać na sanki, a w domu rozpiłowywać i rąbać na części odpowiedniej wielkości. To drzewo było mokre; siedziałam przy otwartych drzwiczkach i dmuchałam, dym szedł na izbę. Czasem wracała mama i jakoś ratowała tę zgnębną „dmuchawkę”.

Do izdebki, w której mieszkaliśmy wchodziło się wprost ze dworu. Nie było żadnej sionki, ani wiatrołapu. Żywo stoi mi w pamięci wykopany w śniegu tunel, wyższy dużo ode mnie, którym z zewnątrz dochodziłyśmy do drzwi, jakie dzięki tej śniegowej dwustronnej osłonie można było otwierać.

W tych warunkach przeżyłam ostrą syberyjską malarię. Dreszcze były tak silne, że nie pomagało ciepłe okrycie i dopiero gdy Matka, lub siostra kładły się na mnie i mocno mnie otulały stopniowo ustępowały. Że nie rozwinę już wątku okresowych napadów wysokiej temperatury.

Trudno nie poruszyć jeszcze jednej syberyjsko-wojennej plagi, jaką były wszy we włosach i odzieżowe. Matka bardzo dbała o higienę. Przygotowywała ług z domowego popiołu, w tym prała białinę, mydła brakowało. Iskała nasze głowy prawie codziennie, a wszy mimo wszystko były. Pamiętam jej przestraszona, zmartwiona twarz przy pierwszym znalezisku.

Całkiem wyjątkowym przeżyciem, wstrząsającym pięknem i grozą, było wiosenne pęknięcie i topnienie lodów na dużych syberyjskich rzekach, w naszym przypadku Obu. Bogate doświadczenia dźwiękowe i piętzące się w różnych kształtach bryły lodu, jak ruchome skały – stopniowe wyłanianie się tafli wody po przepłynięciu kry – wiosna i szybko przemijające, upalne lato.

W Kargasku na wiosnę posadziłyśmy trochę kartofli i za poradą Pietuchowej zrobiłyśmy wysoką grzędę z obornika, jako źródła wilgoci i ciepła i dopiero na tym podłożu posadziłyśmy do przyniesionej ziemi ogórki – były dość drobne, ale obrodziły. Taki tam był zwyczaj. W samej ziemi nie rosły. Warto dodać, że te wyczyny ogrodnicze odbywały się w wydzielonej przez gospodynię części jej przydomowego ogrodu pod ścianą lasu. Tajga prawie dotykała naszej chałupki, a po wodę Matka chodziła do rzeki.

Kilka zdań trzeba powiedzieć o ówczesnym miasteczku Kargasok, a i jego późniejszych losach. Pamiętam błotniste niczym nie wysadzone drogi, a w „centrum” dość wysoko na palach osadzone drewniane chodniki. Cytowany już niejednokrotnie Walery Kalinouski, na podstawie regionalnej literatury formułuje następującą opinię: Nazwa Kargasok oznacza po selkupsku „pysk niedźwiedzia”. W czasie kiedy tam byliśmy miejscowość liczyła 3000 mieszkańców, miała zburzoną cerkiew, szpital na 15 łóżek i centralę telefoniczną na 50 numerów. Nieplanowa zabudowa, przeważnie domów parterowych. Dróg brukowanych, a tym bardziej asfaltowanych nie było. Przemieszczano się po groblach z drągów i gałęzi. Wieś, jak osadę nazywa autor, z jednej strony zamykały piękne dorodne cedry, a z drugiej szeroka, (poławodnaja) wspaniała rzeka Ob – jedyny pewny łącznik z resztą kraju, jednak tylko do mrozów! W ziemie Kargasok był odcięty od świata. Do najbliższej stacji kolejowej w Tomsku ponad 500 km.

Rejonowa osada Kargasok do obecnego czasu nie ma praw miejskich, mimo wielkiego bumu gazowego i wydobywania ropy naftowej, począwszy od lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku. Obecnie mieszka tam 9.000 osób, a miej-

scowa gazeta „Siewiernaja prawda” skarży się, na beznadziejne drogi i na to, że wydobywany tu gaz, przekazywany do Europy, nie został dotychczas podłączony do miejscowych domów.

Z Kargaska mam jedno miłe wspomnienie. Tam mogłam pójść do szkoły, zaczęłam się uczyć pisać i czytać po rosyjsku. Spotkałam się tam z bardzo dobrą, młodą, przystojną i wymagającą nauczycielką – Maryją Siemionowną – „świat nie biez dobrych ljudiej”!

Tym akcentem kończę wspomnienie z pierwszego etapu naszej zsyłki – z Narymskiego Kraju. Były jeszcze dwa całkowicie odmienne: samodzielny wysiłkiem naszej Matki – wyjazd do Tomsku (to czas pod każdym względem najtrudniejszy) i zorganizowane już odgórnie zbiorowe przesiedlenie wymizeryowanych Sybiraków na stepy północnego Kaukazu w rejon Armawir, Krasnodarskiego obwodu do Urupskiego Siemsowchozu<sup>13</sup>, którego centrala mieściła się w miejscowości Sowietskaja Stanica, a my trafiłyśmy do jego drugiego oddzielenia (działu) na bałce<sup>14</sup>.

---

<sup>13</sup> Siemsowchoz – sowchoz nasienny. Uprawiano tam określony gatunek pszenicy na nasiona.

<sup>14</sup> Bałka – wąwóz, jar, parów; rodzaj doliny stepowej, w której mieściła się nieduża osada ludzka oddalona od centrali sowchozowej o około 10 km.